

WŁADYSŁAW

STANISŁAW

REYMONT

PRZY ROBOCIE

Władysław Stanisław Reymont

Przy robocie

«Public Domain»

Reymont W.

Przy robocie / W. Reymont — «Public Domain»,

Naturalistyczne opowiadanie Władysława Stanisława Reymonta (1867–1925) z roku 1895, w którym poznajemy Gliniewicza, chłopca pracującego przy wyrębie, w granicznej sytuacji życiowej. Ponury obraz wyłaniający się z treści utworu, którego przekaz wzmacniają zastosowane przez Reymonta środki, takie jak surowa, prosta narracja, oschłość dialogów i liczne powtórzenia wymownych fraz, pozwalają czytelnikowi dogłębnie odczuć tragizm sytuacji bohatera. Naturalistyczna dokładność odtworzenia sytuacji stawia Reymonta w szeregu najprzedniejszych nowelistów polskich. Wiarygodność tekstu uzmysławia, że w swojej wczesnej twórczości autor potrafił ukazać psychologię postaci, której brak niejednokrotnie zarzucano pisarzowi w przypadku jego powieści.

© Reymont W.

© Public Domain

Władysław Stanisław Reymont

Przy robocie

– Wam coś jest?

– Ja nie wiem, co mi jest; od rana żre mnie jakaś chańdra niby pies połamanymi zębami, że miejsca sobie znaleźć nie mogę. Sznapsa pijecie, a?

– Dobrze. Kto wychodzi? Prawda, karty wyście rozdawali.

Umilkli i zaczęli grać.

Wiatr targał nędznym, skleconym z desek i gałęzi szałasem, przyciskającym się do nasypu kolejowego i z jednej strony zupełnie otwartym na świat. Płomienie palącego się przed szałasem ogniska syczały, zalewane ustawicznym deszczem, miotały się na wszystkie strony, buchały snopami iskier i często rzucały głęby gryzącego, rudego dymu w twarze grających, którzy siedzieli na pniach przed trzecim, wyższym znacznie, żółtym się, świeżo przerzniętym słojem, na którym kładli karty.

– Wychodzę z czterdziestu! – zawołał młodszy, z trudem rozpoznając karty w słabym brzasku ognia.

– Dobrze, ślicznieńki.

– Teraz podrzynam was, z dwudziestu!

– Same cudowności, milusi!

– Dobijam: as atutowy, co czyni siedmdziesiąt jeden i partya moja.

– Twoja, serdce, twoja – odpowiedział śpiewnym głosem, ale zupełnie obojętnie Gliniewicz.

– Skroiłeś mi kurtę, serce moje, a!

– Nóżki na stół i płacić!

– Zapłaci się, serdce, jeno krzyknę na swoich chłopców.

Wyszedł przed szałas, za ognisko, dłonie zwinął koło ust w tubę i krzyknął:

– Chamy! a ruszać się tam.

Wiatr zakotłował gwałtownie, zakręcił się po szałasie, wyrwał kilka płonących szczap z ogniska i przepadł z nimi w nocy i szarudze październikowej. Gliniewicz cofnął się pod szałas, zapłacił i zaczął grać drugą partycję, spoglądając co chwila przed siebie w noc i nasłuchując.

– Raz... dwa... puszczaj! – rozległa się głucha komenda i huk kafarów, wbijających pale; a gdy ognisko, ustawicznie podsycane smolnemi szczapami, buchnęło żywszym płomieniem, wtedy wyłaniały się z ciemności wysokie rusztowania podobne do wież, stojące znacznie niżej od ognia, i cały las olbrzymich pni sosnowych, odartych z kory, ustawionych obok siebie, i niewyraźne zarysy robotników, obracających kołowroty. Nasyp kolejowy był rozkopany na przestrzeni kilkudziesięciu metrów, stary most zniesiony i po obu stronach bystrej i wezbranej październikowymi deszczamirzeczki wbijano pale pod fundamenty nowego mostu. Roboty prowadzono pośpiesznie.

– Raz dwa... Puszczaj! – kołowrót, ciągnący babę, stawał kleszcze rozwierały się, i baba, trzymana z tyłu przez dwie wysokie strzały rusztowania, zsuwała się po nich z szybkością piorunującą i uderzała w podstawiony pal z siłą czterdziestu pudów, aż wielkie wypory, podtrzymujące rusztowanie i umocowane przy ziemi w kwadracie z belek, a złączone przecznicą tak, że tworzyły literę A, trzęsły się i trzeszczały złowrogo.

– Jaazda... w góree!

Niby pająki, spadały ze szczęką kleszcze na babę, chwyciły ją zębami z wierzchu, rozlegał się zgrzyt kołowrotu, kilkanaście rąk zaciskało się silniej przy korbie, ośm postaci przeżyło się ogromnym wysiłkiem i, wolno, automatycznie zginając się i podnosząc, obracali koło.

Ośm kafarów biło bez ustanku, i na obu brzegach co chwila rozlegała się komenda, i co chwila przecinał powietrze ostry świst i huk głuchy, podobny do oddalonego grzmotu, drżał ciężko w zadeszczonym powietrzu i wstrząsał szałasem.

– Nie idzie wam karta?

– A cóż mnie szło kiedy, a? Nie mogę grać, ręce mi się trzęsą – rzucił karty na pień, wstał i krzyknął silnym zdenerwowanym głosem:

– Chamy! A ruszać się tam!

– Sznapsa pijecie, a? – Tamten nie chciał; Gliniewicz sam się napił, zapiął się starannie, kołnierz postawił i schodził ostrożnie po oślizgłej glinie zbocza nasypu ku palom, które w brzaskach ogniska lśniły się, niby kolumny z różowawego bursztynu.

– Psiakrew, taka noc! – mruknął, schodząc pomiędzy pale i macając co chwila kijem, aby nie wpaść w doły pokopane i pokryte tylko gdzieś tam tarcicami, które się ze skrzypem gięły pod nim. Jakiś niepokój głuchy i obawa rozdrażniały go boleśnie, oglądał pnie, nie wiedząc sam po co, włąził na drabiny patrzeć, czy sznury się nie drą, przypatrywał się rusztowaniom kafarów, tłukł się w ciemnościach o pale, potykał, klął po cichu i głośno, przystawał i patrzył bezmyślnie w smugi ogniska, przedzierające się pomiędzy palami, na pochodnie, zatknięte nad samą rzeką przy pompach, pracujących bezustannie i skrzypiących okropnie tłokami.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.